

Marian Bugajski

O polonistyce, zakładzie i katedrze na pięćdziesięciolecie wspomnień przygarść

Nie wiem, od czego zacząć, by uniknąć chaosu we wspomnieniach związanych z moją pracą w Instytucie Filologii Polskiej, ale wspomnienia są chaotyczne z natury rzeczy, a przeszłość jawi się czasami jako zamglony obraz, a właściwie zamglone tło obrazu, na którym trudno wypatrzeć poszczególne elementy, chociaż skądinąd wiemy, że one powinny tam być. Wypatrujemy więc oczy, usiłując cokolwiek wydobyć z tego tła, czasami się to uda, czasami nie i wtedy próbujemy to coś zrekonstruować. Jeśli mamy cierpliwość, poszczególne fakty możemy porządkować, układać w porządku chronologicznym, opisywać i rekonstruować związki między nimi. Możemy podejmować próby tworzenia? Chyba raczej odtwarzania historii.

Ten tekst jest taką próbą indywidualnego subiektywnego spojrzenia wstecz, spojrzenia na to, co się działo w ciągu paru dziesiątek lat, jak kształtowała się wtedy rzeczywistość. Jest to moja historia. Moja w tym sensie, że przeze mnie opowiedziana, i moja, bo jest to opowiadanie o mnie. Mówię tu o rzeczach, które się wydarzyły, w których uczestniczyłem i miałem na nie wpływ. Gdzieś tam w tle obrazu są także inne postacie, z którymi się stykałem, spotykałem, przyjaźniłem, rozmawiałem i pracowałem i każda z nich mogłaby ten sam? taki sam? podobny? obraz namalować, akcentując różne elementy tła. Owszem, tło jest ważne, a pierwszy plan? Jest na nim na pewno narrator i historia opowiedziana przez niego w jakimś stopniu jest udokumentowana, w jakimś jednak stopniu musimy przyjąć to, co podpowiada mu pamięć, a ta, jak wiadomo, jest zawodna.

Taki sposób opowiadania historii wynika z szacunku do jej uczestników. Oni są w moich wspomnieniach, ale nie wskazuję na nich bezpośrednio, nie przywołuję żadnych imion i nazwisk, żeby nie sprawić komuś przykrości, żeby kogoś nie dotknąć fałszywym wspomnieniem. Moje wspomnienia są moje i do mnie należą. Piszę o wydarzeniach, nie zaś o ich twórcach, o „dzianiu się”, a nie o tych, którzy dzieje kreują. Mówiąc po prostu, nie ma w nim imion i nazwisk ani konkretnych postaci; są natomiast osoby odtworzone przez moją pamięć. Wyjątek stanowią dwie osoby. Dlaczego dwie? Bo są ważniejsze od innych.

*

Na stałe – na dobre, nie na złe – związałem się z Zieloną Górą w 1992 roku, kiedy to rektor prof. Jerzy Baksalary namówił mnie do podjęcia pracy w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej im. Tadeusza Kotarbińskiego. Wspominam go jako barwną postać i wielkiego uczonego, który z prowincjonalnej szkoły postanowił zrobić uniwersytet i dążył do celu, nie czekając na odgórne decyzje, wyprzedzał czas. Zdawał sobie sprawę z licznych trudności i przeszkód oraz z braku odpowiedniej kadry, ale uparcie dążył do celu, modernizując uczelnię. Wprowadził między innymi płatne studia zaoczne, co pozwoliło na unowocześnienie bazy dydaktycznej i radykalną zmianę polityki kadrowej.

Sławny „dodatek zielonogórski” miał zachęcić samodzielnych pracowników naukowych do podejmowania pracy w zielonogórskiej WSP. I zachęcał. Przyciągał kadre, ale także budził zawiść i niechęć. Mówiło się nawet o desancie Baksalarego i o poznańskim desancie. Za tymi słowami kryły się obawy i lęki, i swoiste poczucie zagrożenia miejscowych nauczycieli akademickich, szczególnie tych o niewielkim dorobku. Był człowiekiem z fantazją, osobiście wyposażył mój zakład w sprzęt potrzebny do kształcenia dziennikarzy, bo z dziennikarzami miał na pieńku, zarzucał im, najdelikatniej mówiąc, ignorancję, oni zaś odwziewali mu się niezbyt pochlebnymi tekstami.

*

Na WSP miałem drugi etat. Było to dla mnie wygodne i korzystne finansowo, uczelnia zaś miała tymczasowo zaspokojone potrzeby dydaktyczne, jednak nie liczyłem się jako pracownik naukowy, bo taki był stan prawny. W tej sytuacji było wtedy wielu profesorów zmuszonych do podejmowania dodatkowych zajęć ze względu na miserię finansową. Zresztą dzisiaj pensje profesorskie też nie są zadowalające. Rektor od początku kadencji starał się o podniesienie poziomu kierowanej przez niego uczelni i w związku z tym pozyskiwał samodzielnych pracowników naukowych, zapewniając im dobre warunki płacowe. W rozmowie ze mną postawił sprawę jasno: albo pracujesz za dobre pieniądze na pierwszym etacie, albo do widzenia. Pieniądze na owe czasy były spore, więc zostałem. I zgodnie z życzeniem Magnificencji zająłem się organizowaniem studiów dziennikarskich. Baks był człowiekiem bezpośrednim i jednocześnie wizjonerem niejednokrotnie łamiącym zasady i konwencje, ceniał samodzielność i inicjatywę.

Dobrze wykorzystał czas i miejsce; stworzył może nie zaczątki uniwersytetu, ale sprawił, że o uniwersytecie zaczęliśmy myśleć, słowo Magnificencja jakoś do niego nie pasowało. Miał zresztą przyjacielskie usposobienie i swoich podwładnych traktował może czasami obcesowo, ale raczej po przyjacielsku.

Nie wiem, czy istnieją jakieś publikacje, pamiętniki, wspomnienia o profesorze Jerzym Baksalarym. Była to bowiem POSTAĆ i książki by warto o nim pisać. Często go wspominam w gronie znajomych jako człowieka niezwykłego i wielkiego uczonego.

*

W urzędowym piśmie JM Rektor prof. dr hab. Jerzy K. Baksalary informował mnie o tym, że wniosek Dziekana Wydziału Humanistycznego spotkał się z przychylnością rady tegoż wydziału; uzyskałem 17 głosów na tak, 2 – nie, a jedna osoba wstrzymała się od głosu. Podobnie na posiedzeniu senatu, ale tam nie było sprzeciwów, bo Baks sprzeciwów nie lubił. Posadę profesora na WSP objąłem 1 września 1992 r.

*

Zacząłem więc jako młody (?) pracownik naukowo-dydaktyczny organizować najpierw zakład, potem katedrę komunikacji językowej i społecznej. I nie było to łatwe. Przez długie lata odczuwałem, co to znaczy być obcym. Ale zakład zaczął stopniowo działać, a studia przez nas prowadzone cieszyły się wielkim powodzeniem, mieliśmy po kilkanaście zgłoszeń na jedno miejsce. Było z czego wybierać. Wtedy jeszcze nie wystarczało zapisać się na studia; obowiązywały egzaminy wstępne, a na studia dziennikarskie, nazywane po prostu dziennikarstwem – egzamin dwustopniowy. Tego typu studia nie mieściły się w ówczesnych ramach formalnych i powstał problem, jakie dyplomy będziemy dawać po pięcioletnich jednolitych studiach magisterskich. Ustalono, że będzie to magister filologii polskiej ze specjalnością dziennikarską, gdyż podstawę kształcenia stanowiła filologia polska, a studia przez nas prowadzone mieściły się w obrębie Instytutu Filologii Polskiej. Instytut w osobie dyrektora i niektórych jego podwładnych odnosił się do mnie i do osób ze mną współpracujących z dystansem, jeśli nie z niechęcią, chociaż studia dziennikarskie zapewniały także wszystkim tzw. godziny dydaktyczne. Teraz sobie myślę, że mogło to po części wynikać ze specyfiki wyrazów „prowincja”, „prowincjonalny”, których używałem wcale nie w sensie pejoratywnym, lecz na określenie miejsca oddalonego od niedogodności i utrudnień cywilizacyjnych.

*

Dziennikarstwo i jako zawód, i jako kierunek studiów zawsze było atrakcyjne, a uwolnienie mediów, które się dokonało po roku 1989, spowodowało, że zaczęły powstawać niezależne stacje radiowe i telewizyjne oraz liczne czasopisma, bo śpiewać każdy może, a tym bardziej mówić i pisać. Niosły się więc zewsząd fałszywe śpiewy, a zadaniem naszych studiów było uczenie zasad dobrego komunikowania. Była to też pilna potrzeba. Nikogo nie trzeba było przekonywać, że dziennikarz oprócz działań

praktycznych musi znać teoretyczne podstawy komunikowania i że wszystko to łączy normatywistyka, dziedzina, którą od dawna się zajmowałem. Językoznawstwo normatywne to w praktycznym, potocznym rozumieniu kultura języka. Także w tej dziedzinie wspierali mnie dziennikarze lubuscy. Prowadziłem więc pierwszy w Polsce internetowy poradnik językowy, uczestniczyłem w popularnonaukowych audycjach w radiu i telewizji, w spotkaniach i dyskusjach; byłem inicjatorem uniwersyteckiej poradni językowej. Dzięki moim staraniom (to jest odrębna długa historia) istnieje dzisiaj i pięknie gra Akademickie Radio Index.

*

Ta popularyzatorska działalność pozwoliła mi zaistnieć nie tylko w mediach i nie tylko w środowisku akademickim. Moja praca naukowa stała się zauważalna poza uniwersytetem i uzyskała także walor praktyczny, istniało bowiem zapotrzebowanie na szeroko pojętą kulturę języka, zarówno na jej teoretyczne podstawy, jak i na praktyczne ich rozpowszechnianie. W 1996 roku zostałem członkiem Komisji Kultury Języka przy Komitecie Językoznawstwa PAN. W 2000 roku dostałem nagrodę naukową prezydenta Zielonej Góry, a wcześniej – w 1998 roku – Złoty Krzyż Zasługi. Potrzebę dobrego kształcenia językowego i komunikacyjnego dostrzegali też dziennikarze wszystkich mediów i chętnie podjęli współpracę. Prowadzili zajęcia praktyczne i warsztatowe, szczególnie dobrze układała się współpraca z Radiem Zachód, które przez długie lata opiekowało się naszymi studentami i uczyło ich podstaw rzemiosła.

*

Ja sam te podstawy zdobyłem jeszcze w radiu studenckim we Wrocławiu, bo moim zamiarem było dziennikarstwo. Chciałem zostać dziennikarzem. Nie udało mi się, bo (więc) zostałem nauczycielem akademickim, gdyż napisałem wyróżniającą się pracę magisterską, która została opublikowana i uhonorowana nagrodą ministra, i pewnie promotor i władze wrocławskiego Instytutu Filologii Polskiej pokładali we mnie jakieś nadzieje.

Publikacja książki naukowej, a tym bardziej publikacja pracy magisterskiej w tamtych czasach nie była rzeczą łatwą, ale mnie jakoś się udało. Jednak warunkiem otwarcia przewodu doktorskiego były dwie publikacje (nie książkowe oczywiście, ale publikacje dwóch artykułów). No i powstał problem, bo jeden równa się jeden i już.

Na szczęście moi przełożeni byli humanistami i ustalili, że czasami jeden równa się dwa i miałem silne podstawy do starania się o doktorat, czyli zdania egzaminów i obrony pracy doktorskiej. Może to dziwne, ale wtedy nie było jeszcze ani studiów doktoranckich, ani szkół doktorskich, co dzisiaj wydaje się wręcz niemożliwe.

A jednak – zdobywaliśmy kolejne stopnie naukowego wtajemniczenia bez pośrednictwa i kierownictwa, nosząc teczkę za promotorem.

*

Studia polonistyczne odbyłem na Uniwersytecie Wrocławskim, tam też zdobyłem kolejne stopnie naukowe – doktorat i habilitację, oraz zaliczyłem kolejne stanowiska od asystenta stażysty poprzez asystenta, starszego asystenta, adiunkta do docenta. Stanowisko docenta obywatel dr hab. Marian Bugajski otrzymał od ministra edukacji narodowej prof. dra hab. Henryka Samsonowicza. W piśmie z 10 września 1990 r. obywatel minister informował: *Obowiązki i prawa Obywatela Docenta określa ustawa o szkolnictwie wyższym oraz wydane na jej podstawie przepisy wykonawcze. Uposażenie będzie Obywatel Docent otrzymywał w wysokości i na zasadach określonych w przepisach o uposażeniu nauczycieli akademickich.*

Tytuł profesora nadał mi postanowieniem z 21 lutego 2005 r. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

*

Dzisiaj według ustawy nauczyciel akademicki może być zatrudniony jako profesor, profesor uczelni, adiunkt, asystent. Profesor uczelni to osoba ze stopniem doktora lub doktora habilitowanego; profesor – ktoś z tytułem zdobytym w trakcie specjalnej procedury nazywanej przewodem profesorskim, nadanym przez prezydenta RP, mówi się o nim profesor tytularny albo profesor belwederski; wcześniej musi jednak uzyskać stopień doktora habilitowanego. Profesor uczelni w zasadzie powinien być po habilitacji. Takie jest według mojego rozeznania stanowisko społeczności akademickiej. Ustawa jednak mówi, że może to być osoba „posiadająca co najmniej stopień doktora oraz znaczące osiągnięcia”. Tak sformułowane prawo pozwala na mianowanie profesorami osób mających tylko doktorat. Mimo sprzeciwów środowiska naukowego wraca więc na uczelnie prof. dr (profesor doktor – bez habilitacji). A już się wydawało, że osiągnięto stan, w którym słowo profesor kojarzy się nie ze zwykłym doktorem, ale doktorem habilitowanym, np.: prof. dr hab. Jan Kowalski. Nader to wszystko skomplikowane, lecz mocno osadzone w tradycji akademickiej.

Wydawało mi się do niedawna, że stanowiska bez awansu naukowego jako jawne nadużycie już nie wrócą. Okazuje się jednak, że nie miałem racji – ustawodawca zostawił sobie furtkę, przez którą według uznania może puszczać osoby zasłużone, mające duże osiągnięcia. Jakie osiągnięcia? Naukowe bądź dydaktyczne. Dawni – marcowi docenci i profesorowie kojarzyli się z protestami studenckimi z marca 1968 roku, dzisiaj ich mianowanie to tylko kwestia czasu, a kojarzyć się będą ze wszystkimi miesiącami i porami roku.

„Docent” miał silne negatywne konotacje, wobec czego w ciągu zmian po roku 1989 stanowisko zostało zniesione. Częściowo przywrócono je w roku 2005 (częściowo, bo było możliwe jako stopień dydaktyczny nauczycieli akademickich), po czym znowu w 2011 roku zostało zlikwidowane. „Docent, nie teoryzuj” – powiedzenie z satyrycznej audycji Jonasza Kofty i Stefana Friedmanna, weszło w obieg w kręgach naukowych i także w potocznej odmianie języka. Obawiam się, że degradacji podlega dzisiaj także tytuł profesora, co jest wynikiem gwałtownego przyrostu habilitacji i co za tym idzie – przyrostu profesorów uczelnianych. Nie wiem, co jest przyczyną takiego stanu rzeczy, bo jakoś nie obserwuję gwałtownego wzrostu poziomu naukowego, z pewną obawą jednak patrzę na gwałtowny wysyp publikacji, a zwłaszcza tzw. publikacji punktowanych, które w ostatnim czasie wyrosły niczym grzyby po deszczu w zielonogórskich lasach.

Niektórzy do tej tytułatury nie przywiązują większej wagi, ja uważam, że taka hierarchiczna struktura kadry naukowej mająca odzwierciedlenie w nazwach stopni i tytułów odzwierciedla poziom wiedzy, osiągnięcia naukowe, jest właściwa naszej tradycji i kształtuje relacje wewnątrz wspólnot akademickich.

*

Pracę magisterską o terminologii poligraficznej napisałem u prof. Antoniego Furdala, który od początku darzył mnie przyjaźnią, ale jednocześnie dużo wymagał, a pomagał tyle, ile trzeba. Uczył po prostu samodzielnego myślenia i myślowej dyscypliny. Antek, tak o nim po cichu myśleli i mówili jego uczniowie, budził ogromny respekt, nawet przez telefon rozmawiałem z nim, stojąc na baczność. Był także promotorem mojego doktoratu i pierwszą przyczyną moich kontaktów z Zieloną Górą.

Pytając kiedyś o postępy w habilitacji, zaproponował mi wykłady z językoznawstwa ogólnego na WSP w Zielonej Górze. Prowadził te zajęcia, ale z jakichś powodów musiał zrezygnować, a może po prostu miał dość dojeżdżania z Wrocławia. Tę propozycję uznałem za wielki zaszczyt – mistrz proponował mi wykłady! Oprócz tego – i tak jest do dzisiaj – pensja adiunkta była skromna i trzeba było po prostu dorabiać. Otrzymałem więc propozycję ze wszech miar korzystną, jednak niestety trzeba było dojeżdżać, przygotowywać się do wykładów i pisać habilitację. Miałem pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku co robić, ale jeżdżąc co tydzień z Wrocławia do Zielonej Góry, mógłbym jeszcze na ćwierć etatu sprawdzać bilety w pociągu.

*

Zielona Góra zawsze mnie kusiła jako miejsce do życia, spokojnej pracy i wypoczynku, przyjeżdżaliśmy tu już wcześniej z żoną i synami, nad Jezioro Grójeckie, gdzieśmy koczowali w namiotach, zbierali grzyby, pływali i korzystali z wszelkich uroków

wakacji. Później kupiliśmy wspólnie z przyjaciółmi kawałek ziemi nad tym jeziorem i od jakiegoś upadającego przedsiębiorstwa tzw. barakowóz, coś w rodzaju wozu Drzymały, gdzie urządziliśmy sobie na kilka lat siedzibę letnią. Trudno jednak było ją ustrzec przed tak zwanym elementem, menelami, bo nie mogliśmy tam siedzieć przez cały rok. Element więc coraz bardziej się panoszył, rozkradziono wszystko, co można było rozkraść (nawet stary materac, na którym spała nasza suka Aza, nie mówiąc już o kilkudziesięciu metrach wpuszczonej głęboko w ziemię rury (bo zrobiliśmy tam ujęcie wody); przestaliśmy więc przyjeżdżać do Grójca.

Z radością i pewnym niepokojem przyjąłem więc propozycję Antoniego Furdala i zatrudniłem się na pół etatu w Wyższej Szkole Pedagogicznej im. Tadeusza Kotarbińskiego w Zielonej Górze. Wykładałem tu językoznawstwo ogólne, a później też gramatykę opisową. Całkiem niespodziewanie w roku 1989 (już po habilitacji, która nie była jeszcze formalnie zatwierdzona) otrzymałem propozycję wyjazdu zagranicznego, skorzystałem z niej oczywiście i moje kontakty z uczelnią na dwa lata ustały.

Ten czas pierwszych kontaktów z Zieloną Górą wspominam z sentymentem, poznałem kilka ciekawych osób, z kilkoma się zaprzyjaźniłem, bardzo dobre stosunki utrzymywałem z dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej i kierownikiem Zakładu Języka Polskiego. Zakład działał nie tylko jako instytucja naukowa i dydaktyczna, ale także jako miejsce spotkań towarzyskich. Częste były zebrania naukowe (także z udziałem osób z innych uczelni), po których urządzaliśmy imprezy (ale to słowo wtedy jeszcze nie było w powszechnym użyciu). Imprezowaliśmy także nad jeziorem przy ognisku. Jedną z takich naukowych imprez zaszczylił swoją obecnością prof. Antoni Furdal, który, jak się okazało, był bardzo towarzyską osobą – śpiewał, pił wino, opowiadał dowcipy.

*

Po dwuletniej nieobecności wróciłem na uniwersytet do Wrocławia już na stanowisko docenta, ale ponieważ samo miasto jako miejsce do życia nie bardzo mi odpowiadało, odnowiłem kontakty z Zieloną Górą, gdzie najpierw miałem część etatu, później drugi etat, a od 1 września 1992 roku etat profesora WSP.

*

Tutaj zająłem się między innymi kształceniem dziennikarzy. Był to czas wielkich przemian i istniała pilna potrzeba poprawnego i sprawnego komunikowania. Dyrekcja instytutu jednak niezbyt przychylnie i z pewnymi obawami patrzyła na moje poczynania, ja zaś, mając przychylność rektora, urzeczywistniałem swoją wizję studiów. Myślę dzisiaj, że chciałem wprowadzić zbyt wiele zmian, by mogły one zostać zaakceptowane przez dyrektora IFP.

Tak zwana baza lokalowa instytutu była uboga, brakowało podstawowych sprzętów, a na terenie uczelni w osobnym budynku mieściła się jakaś szkoła, którą Baks po prostu wyeksmitował. Rodzice uczniów protestowali, organizowali jakieś demonstracje, ale nic to nie dało. Barak (bo był to budynek osobliwego kształtu) wyremontowano i po długich zabiegach, negocjacjach, targach, podchodach (wcale nie przesadzam) przypadł on w udziale mojemu zespołowi. Zabiegali o miejsce w nim także socjologowie i nawet próbowali przez zasiedzenie zająć kilka pomieszczeń, ale nie mogli tam siedzieć całą dobę, bo nie mieli kluczy. Zapadły mi w pamięć (nie wiem, dlaczego) piękne nowe drzwi o (chyba) bladoróżowej barwie i tabliczki z nazwą zakładu, które ostatecznie rozstrzygnęły prawo posiadania PAWILONU, bo oficjalnie (np. w rozkładach zajęć) tak się budowla nazywała.

Ktoś też chciał w naszym baraku urządzać jakieś pomieszczenia socjalne, ale ostatecznie osadziliśmy w nim Zakład Komunikacji Językowej. W piśmie z 31 stycznia 1995 r. Rektor WSP prof. zw. dr hab. Jerzy K. Baksalary informował, że powołuje mnie „na stanowisko Kierownika Zakładu Komunikacji Językowej w Instytucie Filologii Polskiej”. Miałem więc zespół pracowników naukowo-dydaktycznych, sekretarkę, dobrze wyposażony pawilon i portiera, który strzegł nagromadzonych dóbr. A dyrektor instytutu się obraził i w baraku jego noga nigdy nie powstała.

*

Zakład Komunikacji Językowej był pierwszą w Polsce placówką tego typu, działał w obrębie Instytutu Filologii Polskiej, miał jednak odrębną siatkę zajęć i program badań naukowych; jako jeden z nielicznych miał charakter otwarty. Dość wspomnieć, że prowadzili u nas zajęcia filozofowie, historycy, socjologowie. Współpracowaliśmy też z Instytutem Astronomii. Organizowaliśmy zajęcia otwarte, dyskusje międzywydziałowe, spotkania ze znanymi ludźmi. Gościli u nas znani dziennikarze, marszałek sejmu, wojewoda, prezydent miasta, przedstawiciele instytucji kulturalnych.

Wspólnie z biblioteką uniwersytecką organizowaliśmy wystawy i wernisaże, nawiązaliśmy współpracę z teatrem i dyrekcją muzeum.

Ponieważ uważałem, co jest rzeczą oczywistą, że adept dziennikarstwa musi się orientować w bieżących wydarzeniach, wydzieliliśmy salę – coś w rodzaju czytelnicy czasopism, w której studenci w wolnych chwilach mogli przeglądać zamawiane specjalnie dla nas periodyki. Zawsze uważałem, że uczelnia istnieje dla studentów i powinna spełniać ich oczekiwania, z uwagą służyłem więc ich głosom, w miarę możliwości biorąc pod uwagę postulaty. Jedną z takich wspólnych inicjatyw było koło naukowe, które próbowało między innymi badać gwarę studencką, była to jednak bardziej zabawa i pretekst do spotkań, rozmów niż naukowe przedsięwzięcie, jednak zaowocowała kilkoma pracami magisterskimi. Koło naukowe miało żywe kontakty

z Uniwersytetem Wrocławskim i Uniwersytetem Szczecińskim, organizowali studenci wspólne obozy naukowe, między innymi w Lubiawie i Karłowie, i mieli możliwość publikacji w pracach naukowych uczelni.

Rozpoczęliśmy też nauczanie języka polskiego jako obcego. W ramach tzw. szkoły letniej języka i kultury studenci obcokrajowcy uczyli się polskiego, poznawali Zieloną Górę i region. Te działania nabierały coraz bardziej systematycznego charakteru jako kursy języka polskiego dla osób studiujących na uniwersytecie, pracowników cudzoziemców i wreszcie jako regularne kursy polszczyzny jako języka obcego. Dziś Instytut Filologii Polskiej ma uprawnienia do tzw. egzaminów certyfikatowych.

*

Wszystkie te działania były pilnie i krytycznie obserwowane przez władze instytutu i pewnie jakoś dokumentowane, usłyszałem bowiem pewnego razu, że „mamy dowody na to, co pańscy ludzie robią na zajęciach”. Nigdy się jednak nie dowiedziałem, co to za ludzie ani co oni robią, ale prawdą jest, że zajęcia z dziennikarzami i aktorami odbiegały czasem od ustalonych form, a sylabusów jeszcze wtedy nie było. Wszystkie te działania i przedsięwzięcia sprawiły, że jako jednostka naukowo-dydaktyczna przestaliśmy się mieścić w ramach Instytutu Filologii Polskiej, chcąc nie chcąc, stanowiliśmy jakieś, dla mnie niezrozumiałe, zagrożenie.

„Moi ludzie” pamiętają pewnie więcej szczegółów tej działalności, która wymagała szczególnego zaangażowania i wykraczała niejednokrotnie poza ramy uczelnianej rzeczywistości. A rzeczywistość była taka, że początkowo byłem zatrudniony jako pracownik naukowo-dydaktyczny w Zakładzie Języka Polskiego w Instytucie Filologii Polskiej na Wydziale Humanistycznym Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Tadeusza Kotarbińskiego, a moi ludzie nie byli jakoś specjalnie wydzieleni pod względem organizacyjnym i robili swoje, nie czekając na akceptację. Wszystkie nasze działania były dość wyraziste i spójne, by powołać w IFP nową jednostkę organizacyjną.

Powstał więc Zakład Komunikacji Językowej i już formalnie studia pod nazwą filologia polska ze specjalnością dziennikarską zostały wyodrębnione z filologii polskiej. Utworzyliśmy też Podyplomowe Studium Dziennikarskie, a następnie Podyplomowe Studium Komunikacji Medialnej.

*

Oprócz zajęć dydaktycznych i administracyjnych zajmowałem się pracą naukową, przygotowałem do druku książkę *Językoznawstwo normatywne*, która wydana przez PWN weszła do kanonu prac z kultury języka. Byłem kolejno w latach 1993 i 1997 promotorem dwóch prac doktorskich, opublikowanych w postaci książek, z których jedna także wyszła w tym wydawnictwie. Książek, a nie monografii; mówiło się wtedy

książka habilitacyjna, książka doktorska; nie istniało absurdalne określenie monografia wieloautorska. O jednej z tych prac wydawca pisał: *gratulujemy Panu Profesorowi wypromowania tak znakomitej pracy doktorskiej, która stała się podstawą książki*. Uważam, że wszystkie doktoraty powstałe pod moim kierunkiem zasługują na wyróżnienie. Było ich sześć, kolejno w latach 2005, 2006, 2012. W 2005 roku obroniły się dwie moje doktorantki. Wszystkie one pracują naukowo, pięć z nich ma już stanowiska profesorskie. Instytutem Filologii Polskiej UZ kieruje dziś moja uczennica, która jest jednocześnie przewodniczącą dyscypliny. Moje działania dostrzeżono także poza Zieloną Górą i w 1996 r. zostałem członkiem Komisji Kultury Języka przy Komitecie Językoznawstwa PAN.

*

Tymczasem moje relacje z IFP nie były najlepsze, a wręcz się pogarszały. Zakład Komunikacji Językowej za bardzo się wyróżniał, zbyt wiele inicjatyw podejmowaliśmy, byliśmy zauważalni poza Zieloną Górą. W końcu się wydarzyło, co w takiej sytuacji musiało się wydarzyć – wyprowadziliśmy się z instytutu. Właściwie to nawet nie trzeba było urządzić jakiejś przeprowadzki, zmieniono kilka pieczętek, tabliczki informacyjne na drzwiach i tablicę informacyjną przy wejściu do naszego baraku. Powstała Katedra Komunikacji Językowej i Społecznej. Pierwszego października 1999 roku zostałem powołany na jej kierownika.

Katedra kontynuowała działalność zakładu, ale teraz już samodzielnie (choć w współpracy z Instytutem Filologii Polskiej) prowadziła studia pod nazwą filologia polska ze specjalnością dziennikarską, które cały czas cieszyły się dużym powodzeniem.

Od początku mieliśmy dobre relacje ze środowiskiem dziennikarskim. Ta współpraca była korzystna dla obu stron, dziennikarze uczestniczyli w procesie dydaktycznym i w ten sposób przygotowywali sobie młodą kadrę, studenci zaś praktycznie uczyli się zawodu. Przygotowywali nie tylko jakieś krótkie formy, ale także w radiu i lokalnej telewizji większe, wymagające pracy zespołowej przedsięwzięcia. W pamięć zapadło mi pierwsze uroczyste wręczenie dyplomów z udziałem przedstawicieli miejscowych władz i kwiatami przez nie ufundowanymi oraz upominkami od jednego z banków.

Przez kilka lat dużym wydarzeniem były konkursy krasomówcze urozmaicające trudne zajęcia teoretyczne, bo było czymś oczywistym, że dziennikarze powinni pięknie mówić – tym bardziej że ich wykształcenie miało polonistyczne podstawy.

Usamodzielnienie katedry spowodowało, że studia polonistyczne poszły dwutorowo. Tak zwana tradycyjna polonistyka wiązała się z Instytutem Filologii Polskiej, Katedra Komunikacji Językowej i Społecznej prowadziła zaś filologię polską ze specjalnością dziennikarską. Ja zawsze uważałem się za polonistę językoznawcę,

choć w dorobku naukowym mam wiele prac z dziedziny teorii komunikowania. Takie szerokie i jednocześnie normatywne spojrzenie na język ojczysty pozwoliło mi dostrzegać nowe zjawiska i na bieżąco formułować potrzeby dydaktyczne w dziedzinie komunikacji językowej, ale moje poglądy i doświadczenia jakoś nie chciały się zmieścić w rubrykach, tabelkach, systemach, które z natury rzeczy wymyślali kolejni ministrowie w kolejnych ministerstwach.

*

Nie wiem, ilu było ministrów i wiceministrów próbujących rządzić nauką w czasie mojej pracy w uczelniach wyższych i iloma ministerstwami kierowali. Przykładowo były to kolejno w latach: 1997 Ministerstwo Edukacji Narodowej, 1997 Komitet Badań Naukowych, 2001 Ministerstwo Edukacji Narodowej i Sportu, 2001 Ministerstwo Nauki, 2004 Ministerstwo Nauki i Informatyzacji, 2005 Ministerstwo Edukacji i Nauki, 2006 Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, 2021 Ministerstwo Edukacji i Nauki. Tyle pamiętam. I może jeszcze ze dwa nazwiska, ale nie wymieniam ich, bo nie wypada.

*

Nie wiem też, jak jest w innych dziedzinach, ale na nauce i szkolnictwie wyższym znają się wszyscy i powstają coraz to nowe instytucje próbujące nami kierować, np.: Centralna Komisja Kwalifikacyjna do spraw Kadr Naukowych, Centralna Komisja do spraw Stopni i Tytułów, Rada Doskonałości Naukowej, Państwowa Komisja Akredytacyjna, prezydencka Rada ds. Szkolnictwa Wyższego, Nauki i Innowacji.

Nad prawidłową realizacją procesu dydaktycznego od 1 stycznia 2002 roku czuwa tak zwana (też już zreformowana) paka, czyli Polska Komisja Akredytacyjna, wcześniej – przed 30 września 2011 r. Państwowa Komisja Akredytacyjna. Czemu polska, a nie państwowa, tego nikt nie wie, ale ma ona moc niezwykłą decydowania o istnieniu lub nieistnieniu kierunków studiów. Na jej stronach internetowych czytamy

[...] że jest niezależną instytucją działającą na rzecz zapewniania i doskonalenia jakości kształcenia. Podstawowymi celami działań Komisji są: dbałość o spełnianie standardów jakościowych przyjętych dla szkolnictwa wyższego, nawiązujących do najlepszych wzorców obowiązujących w europejskiej i globalnej przestrzeni edukacyjnej, oraz wspieranie uczelni publicznych i niepublicznych w procesie doskonalenia jakości kształcenia, a także budowania kultury jakości. Działania te zmierzają do zapewnienia absolwentom polskich szkół wyższych wysokiej pozycji na krajowym i międzynarodowym rynku pracy, a także do zwiększenia konkurencyjności polskich uczelni jako instytucji europejskich.

Jej cele strategiczne [...] służą podniesieniu skuteczności i efektywności realizacji podstawowych zadań ustawowych w zakresie przeprowadzania programowej oceny jakości kształcenia oraz wyrażania opinii w sprawie spełnienia warunków prowadzenia studiów na określonym kierunku, poziomie i profilu oraz związku studiów ze strategią uczelni.

Efektywność realizacji, dbałość o spełnienie standardów, proces doskonalenia jakości kształcenia, budowanie kultury jakości, cele strategiczne – wszystkie te jakże piękne i słuszne słowa spowodowały, że Paka zarzuciła nam (katedrze i instytutowi) prowadzenie dwóch polonistik. W rzeczy samej tak było – mieliśmy filologię polską i filologię polską z dziennikarstwem, ale od zawsze się zastanawiałem nad możliwościami utworzenia kierunku dziennikarstwo i zawsze wychodziło na to, że jedynym dla niego miejscem jest Instytut Filologii Polskiej.

*

Tymczasem w 2001 roku wspólnymi staraniami uczelni Wyższa Szkoła Pedagogiczna połączyła się z Politechniką Zielonogórką i powstał Uniwersytet Zielonogórski, a KKJiS trwała jeszcze do roku 2005, kiedy to wróciłem do instytutu i ponownie zostałem powołany na Kierownika Zakładu Komunikacji Językowej w Instytucie Filologii Polskiej na Wydziale Humanistycznym. Instytut Filologii Polskiej to oczywiście nie tylko dziennikarstwo.

Cały czas i w zakładzie, i w katedrze dążyliśmy do utworzenia studiów dziennikarskich; było to trudne, bo zmieniały się warunki zewnętrzne oraz preferencje władz instytutu i wydziału, pojawiła się konkurencja w postaci Instytutu Politologii, brakowało specjalistów z odpowiednimi publikacjami. Ostatecznie jednak studia dziennikarskie I stopnia uruchomiliśmy na podstawie uchwały senatu Uniwersytetu Zielonogórskiego nr 204 z 27 listopada 2013 r. i II stopnia na podstawie uchwały senatu UZ nr 49 z 25 stycznia 2017 r., a w 2022 roku utworzono Zakład Dziennikarstwa i Nauk o Mediach. Mam zaszczyt być honorowym członkiem tego zakładu! Jestem też honorowym członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej.

*

W moich wspomnieniach, co teraz zauważyłem, jest więcej dziennikarstwa niż filologii, a przecież Instytut Filologii Polskiej to oczywiście nie tylko dziennikarstwo. Dzisiaj uporządkowany, mądrze i odpowiedzialnie kierowany, prowadzi trzy kierunki studiów: dziennikarstwo i komunikacja społeczna, filologia polska, literatura popularna i kreacje światów gier.

W parze z językoznawstwem idzie medioznawstwo, jednocześnie te dziedziny wzajemnie się uzupełniają. Ta dwoistość wynika z popartego badaniami przekonania, że dzisiaj największy wpływ na język mają media. Medialna odmiana polszczyzny ukształtowała się, istnieje i rozpowszechnia oraz wywiera wpływ na wszystkie pozostałe style i w dużym stopniu kształtuje nasze myślenie. Istnieje więc pilna potrzeba wiedzy o języku jako najważniejszym środku komunikowania, zwłaszcza że ważniejsze spojrzenie na stan wiedzy lingwistycznej studentów polonistyki, nauczycieli

i w szczególności dziennikarzy nie napawa optymizmem. Wręcz przeciwnie, można czasami odnieść wrażenie, że językoznawstwo współczesne jest (poza nielicznymi zagadnieniami poprawnościowymi) dyscypliną raczej pozbawioną społecznego oddźwięku i w powszechnym odczuciu stanowi dyscyplinę oderwaną – bez żadnych odniesień do innych dziedzin wiedzy. Jest to stan tym bardziej niepokojący, że zaliczamy je do nauk humanistycznych.

No tak! Wspomnienie zaczyna się przeradzać w wykład, pora więc kończyć. A kończę z nadzieją, że nasza zielonogórska polonistyka doczeka się jeszcze lepszych czasów. Może ktoś kiedyś odnajdzie ten tekst, przeczyta go i zaduma się nad jej historią i niezwykłymi osiągnięciami, a dociekliwy student dyscypliny naukometria historyczna zapyta profesora na zajęciach z historycznych procesów ewaluacyjnych, jaką kategorię miały dyscypliny literaturoznawstwo i językoznawstwo w 2022 roku. Być może powstanie też kiedyś wieloautorska monografia o skutecznej realizacji zadań programowych i efektywności permanentnego wdrażania jakości w świetle wytycznych Ustawy 2022.o.

I to by było na tyle¹.

¹ Tutaj muszę wyjaśnić, bo już się o tym nie pamięta, że zwrot „I to by było na tyle” był używany początkowo przez Jana T. Stanisławskiego, profesora mniemanologii stosowanej, w jego satyrycznych wykładach *O wyższości Świąt Wielkiej Nocy nad Świątami Bożego Narodzenia* i miał być żartem językowym, ale zaaklimatyzował się w polszczyźnie i całkiem poważnie używa się go na co dzień.